

Zachwyt

To zdarza się rzadko. Tak rzadko, że zaczyna się wątpić, czy w ogóle jest możliwe - pisze Dariusz Kosiński.



zdj. Peter Uhan/mat. organizatora

Gdzieś w pamięci jaśniejają podobne doświadczenia z przeszłości, ale nigdy nie ma pewności, czy aby nie jest to już sfera prywatnej mitologii i czy to naprawdę tak było, czy to może tylko opowieści budujące autorytet wobec tych, którzy nie mieli szans widzieć i przed którymi odgrywa się rolę Świadka. Większość tego, co się

ogląda w teatrze, na bieżąco nie jest jakoś szczególnie zła. Większość jest jakoś... interesująca,... ciekawa,... ma dobre momenty, sceny lub role przykuwające uwagę. Ale zachwyty nie budzi. A właśnie zachwyty zdarza się w teatrze rzadko. Tak rzadko, że zaczyna się wątpić, czy w ogóle jest jeszcze możliwy.

Jeszcze... Te legendarne doświadczenia, które spowodowały, że mimo wszystko pozostajemy w tej niszy, były nam dane najczęściej dość dawno. A to one w końcu spowodowały, że teraz ciągnie się ten wóz po odpornej grudzie, wbrew wiatrom zainteresowania, które wieją gdzie indziej. Ciągnie się go w końcu nie dlatego, że tak się kiedyś wybrało i teraz nie ma już wyjścia, więc trzeba robić dobrą minę do złej gry. Czasem tak, czasem dobrą miną złą grę nadrabiamy, ale tak na serio i na głęboko chodzi przecież o to, że wciąż mamy nadzieję, że to się powtórzy, że niegdysiejsze uniesienia i idące za nimi, z nich decyzje nie wynikały tylko z braku doświadczenia, naiwnego zauroczenia tym, co tylko dla nas było świeże. Pozostajemy w niszy i ciągniemy wóz, bo mamy nadzieję, że zachwyty jest możliwy. Jeszcze i jeszcze, i jeszcze raz.

Naprawdę niełatwo powiedzieć, na co tak naprawdę jest ta nadzieja. Zachwyt to kryptonim czegoś, co słowom poddaje się z trudem, a na dodatek na pewno jest indywidualne, choć w teatrze właśnie przeżywane wspólnie, dzielone z innymi. Ale choć zachwycamy się razem i razem wychodzimy w jakimś uniesieniu i mówimy, że teraz nie sposób po prostu pójść do swoich spraw, na piwo lub spać, że trzeba gdzieś, coś, bo normalnie się nie da, to gdy próbujemy nawet na gorąco sobie i tym, z którymi wychodzimy, opowiedzieć zachwyt, wyjaśnić jego powody, to słowa wydają się wyjątkowo głupie i szybko milkniemy zawstydzeni.

Bo to, na co wciąż w teatrze mamy nadzieję, ten teatralny zachwyt, chyba różny od zachwyków innych, jest poza słowami. Gdyby był w słowach, nie potrzebowałby teatru. I nie jest w obrazie, i nie w muzyce, bo wówczas też teatru by nie potrzebował. Ten zachwyt, to, czego wciąż szukamy i na co mamy nadzieję, tylko w teatrze ma swoje miejsce, bo powstaje jako efekt gry, wytwór złożonej dramaturgii działań, głosów, widoków, których ruch prowadzi nie tylko i nie tyle aktorów, ale przede wszystkim nas do tego miejsca, w którym już nie siedzimy patrząc, ale w którym dosłownie się znajdujemy. Odważyłbym się nawet powiedzieć, że jest to miejsce filozoficzne, gdyby natychmiast nie brzmiało to papierem i akademicką katedrą. Ale takie jest, bo to miejsce, które zajmujemy w teatrze, a do którego teatr (to jego paradoks) czasem tylko nas doprowadza, to miejsce poznania, które także jest poza słowami, jakoś bezpośrednie i dlatego silniejsze. Miejsce poznania, które przenika przez skórę.

Wittgenstein ostrzegał, że o tym, o czym nie da się nic powiedzieć, trzeba milczeć. Ale właśnie o tym milczeć nie można, o tym właśnie chce się mówić przede wszystkim, całą resztę odczuwając wcześniej czy później jako gadaninę, załatwianie spraw, komórkowy small talk, którego tak pełno wokół. Teatr potrafi przekroczyć przykazanie Wittgensteina. Potrafi mówić o tym, o czym niczego powiedzieć się nie da, właśnie dlatego, że jego "mowa" nie jest językiem. Dawna semiologia próbowała udowodnić, że skoro teatr znaczy, to językiem być musi, i przegrała. Bo teatr ma znaczenie, ale nie jest cały językiem, a nawet musi nim przestać być, by móc wypowiedzieć to, co żywi naszą nadzieję i co sprawia, że - jak mówił Mickiewicz - "teatr ma moc". Na różne sposoby tę moc teatru próbowano i wciąż się próbuje wyjaśniać, najczęściej bodaj kładąc nacisk na bezpośredniość spotkania, na "życie samo" jako

materię tej sztuki, której nie dzieli z nią żadna inna. Pewnie coś w tym jest, ale zachwyty nie stąd przecież, że ktoś przede mną coś "na żywo" robi, bo czasem z tego tylko wstyd i zażenowanie, że nie wiadomo, gdzie potem oczy podziać. Gdyby samo spotkanie decydowało o mocy teatru, każdy w nim wieczór byłby niezwykle niezwykle. A że nie jest, więc źródło mocy musi być po stronie tego, co się wobec nas czyni. Nasza obecność jest ważna, być może bez niej czynienie byłoby zupełnie bez mocy, ale to wcale nie oznacza, że samo żywe spotkanie ją zapewnia. Nie mylmy warunku z przyczyną.

Więc może byliby tak: wobec nas dzieje się coś, co prowadzi do bezsłownego zrozumienia prawdy dotyczącej także nas, nawet jeśli to, co się dzieje, pozornie wcale nas nie dotyczy. Bezpośredniość, legendarnie teatralne "tu i teraz" wytwarza dystans, który otwiera przestrzeń myślenia całym sobą nie o przedstawieniu i jego znaczeniach, choć o nich też. Ale w tej przestrzeni otwierającej się w bliskości teatralnego dystansu umożliwiony zostaje proces myślenia całym sobą jednocześnie o wszystkim, co wobec nas się dzieje - niezwykle zagęszczony i wielokierunkowy, złożony i intensywny. Myślenie organiczne? Czy to da się jakoś pojąć? Nie wiem, ale mam nadzieję, że kto poznał, ten rozumie.

Ten proces wieść może w bardzo różne strony i różne rzeczy mogą być w jego trakcie przemyślane. Ale to, co nieudolnie może nazywam zachwytem, to jakby efekt specjalny - wyjątkowy, bo wiedzie do dziwnego stanu skupienia, który jest pogodzeniem, choć nie zgodą, spokojem, ale nie biernością, poznaniem, choć nie zrozumieniem. Żeby to opowiedzieć, muszę przywołać śmierć, choć to oczywiście nielogiczne, bo cóż mogę o śmierci wiedzieć, skoro żyję? Ale jednak tak to odczuwam - jako sytuację znalezienia się w miejscu śmierci, z którego (wtedy dopiero!) widać, jak to wszystko i po co było. A skoro patrzę żywy z miejsca śmierci, to czy zarazem jej nie przekraczam, nie patrzę jakby z drugiej strony, choć może z żadnej drugiej strony nigdy patrzeć mi nie będzie dane? Nie, nie - to żaden mistycyzm! Jeśli jest tu jakaś transcendencja, to świecka i doczesna, bo przecież jesteśmy w teatrze i nikt z nas o tym nie zapomina, nikt nawet nie chce, byśmy zapomnieli. Bo właśnie tu w teatrze to jest możliwe: znalezienie się w miejscu filozoficznym, które jest miejscem śmierci. Spojrzenie stąd - żywe na żywych! tylko tak! - to doznanie zawrotne, choć przecież nic się nie zmienia, nie znika nic i niczego się nie widzi poza tym, co jest na scenie i wokół.

Krzysztof Rutkowski opowiadał wiele razy kabalistyczną przypowieść o świecie zbawionym, na którym wszystko będzie dokładnie takie samo jak tu, tylko trochę, prawie niewidocznie przesunięte. To przesunięcie jest możliwe właśnie w teatrze. Zdarza się bardzo rzadko, ale się zdarza...

We are going to die

We are going to die

Today or tomorrow

The life is what we borrow

We are going to die

PS. Wszystko, co napisałem wyżej jest próbą o(d)powiedzenia na przedstawienie "Iliady" w reżyserii Jerneja Lorenciego z Ljubliany, które bez żadnych wątpliwości wygrało 23. Międzynarodowy Festiwal Kontakt w Toruniu.